Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 22.

dnia 1. Maja 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XVI.

KAWIARNIA POD „DZIKĄ WRONĄ.“

Już przeszło godzina, jak stróż na wieży ratuszowej dzwonił na latarników. Ci usłyszawszy sygnał, rozbiegli się po mieście, poczem w ulicach zaczęły gasnąć latarnie jedna po drugiej. Zostały tylko narożne, których drżące światła były drogoskazami dla przechodniów.

Nad miastem coraz większa cisza zalegała. Od dwóch godzin pozamykano domy, hotele i cukiernie, a od godziny wypróżniły się restauracje i kawiarnie. Nawet dorożkarze, przywiozłszy niedawno gości z pociągów ostatnich, poustawiali się gdzieś w ciemnych miejscach i drzymiąc nikomu się już nie wpraszali. W ulicach rzadko gdzie kogo można było dojrzeć, nawet w oknach światła gasły jakby na czyj rozkaz.

Miasto układało się więc do snu, jak olbrzym całodziennym bojem znużony. W kilku tylko ulicach i to w takich, których dla ich brudu porządni mieszkańcy nawet w dzień rozmyślnie unikają, widać było latarnie nad drzwiami niepokaźnemi, a przez nie na pustą ulicę przedzierały się dźwięki harf, spiewy niewieście i okrzyki pijane. W ulicach cicho; czasem tylko dają się słyszeć w jej głębi kroki przyspieszone i najpierw jeden, za nim drugi, trzeci, przybiega pod latarnię, otwiera drzwi i wpada w tę otchłań pełną dymu, wrzawy i wyziewów wódczanych.

Kiedy olbrzym spi, wtedy te miejsca są tyląż ranami na jego ciele: przezorny lekarz umyślnie sam je otworzył, by niemi ściekały niezdrowe soki z całego organizmu...

Na skręcie uliczki długiej a wązkiej, zatrzymały się pod latarnią dwie osoby. Byli to mężczyźni; obadwa przyzwoicie po miejsku ubrani, i obadwa mieli paletotów kołnierze podniesione, noc bowiem, mimo iż na niebie był dopiero wrzesień, była nadzwyczaj zimna, prawie mroźna. Powodem tego był wicher północny, który u nas umie niekiedy w lecie zimę robić.

Niższy głowę podniosłszy, zaczął odczytywać napis na kamienicy narożnej.

— No i cóż, tu? — zapytał go towarzysz.

— Zdaje mi się że tu.

— Co to zdaje mi się... jak pan możesz tak gadać... przecież powinieneś się był dokładnie dowiedzieć. Ach! mój panie, ja widzę że cię płacę nie wiedzieć za co.

Głos mówiącego był syczący.

— Niech się wielmożny pan nie gniewa... nie moja w tem wina. Kawiarnia pod dziką wroną nie należy do lokalów powszechnie znanych, więc też nie umiano mi dokładnie powiedzieć gdzie jej szukać. Sądzę atoli, że w tej ulicy z pewnością ją znajdziemy!

— No dobrze, dobrze, chodźmy!

To powiedziawszy Stern pierwszy ruszył; za nim garbus podążył. W połowie ulicy Stern zatrzymał się, i obracając się do swego sekretarza rzekł:

— A jak ja z nim zechcę cicho pogadać... no, ja wiem że mnie pan rozumie, to wtedy proszę na bok się usunąć i nie słuchać, boby go to mogło

żenować... Ale czy pan wiesz napewne, że go tu zastaniemy?

— Nie wątpliwie będzie pod „Dziką wroną.“ Dziś mówiła mi jego żona, że jak z domu wyjdzie o 3 popołudniu, tak nie wraca aż rano... Zresztą wiem, że żył tak samo i za moich czasów gdym tu mieszkał...

— Tak? Porządny człowiek! Ale chodźmy prędzej bo już pierwsza.

Znowu Stern szedł pierwszy, garbus za nim. Na skręcie ulicy widać było latarnię z niebieskiemi szybami. Garbus stanął, potem cofnął się na środek ulicy i czytać zaczął.

— Tu!

— No niech pan idzie pierwszy.

Sekretarz drzwi pocisnął i obadwa weszli.

Pokój, w którym się znaleźli, był dość obszerny, lecz tak niski, że słuszny mężczyzna mógł w nim ręką dotknąć się sufitu. Pod ścianami okopconemi stały okrągłe stoły żelazne, przy nich siedzieli mężczyźni, trzymając w ręku bądź szklanki z czajem, bądź filiżanki z czarną kawą.

Na środku pokoju widać było duży bilard, pokryty suknem, jak się zdaje, niegdyś zielonem, teraz szarem, tyle w niem było kurzu i pyłu z kredy. Przy bilarze stali dwaj mężczyźni z długiemi kijami. Tylko ci grali. Inni się przypatrywali. Obadwa mieli czarne kapelusze; lecz podczas gdy starszemu kapelusz tak na oczy zapadł, że kresa dotykała się prawie jego nosa, młodszy założył swój na tył głowy i na kiju wsparty przypatrywał się wprawnym uderzeniom swego przeciwnika, przyczem palił długie cygaro i od czasu do czasu przez zęby pluł na posadzkę, która nie myta Bóg wie od kiedy, nie była warta losu lepszego.

W tym pokoju powietrze było jeszcze dość znośne, dym bowiem z fajek i cygarów ulatniał się otworem w górnej części okna, gdzie od rana do wieczora terkotał młynek blaszany. Gwaru wielkiego także tu nie było. Czasami tylko ten lub ów wołał służącego i cygarów żądał, a czasem znowu grający zniecierpliwieni uwagami widzów, którzy do bilardu się cisnęli, a których w języku kawiarnianym „kibicami“ nazywają, odpędzali ich krzycząc:

— Idźcie sobie do stu djabłów!... Kto was prosi o rady?... Ktoby myślał że Bóg wie jak grają, tymczasem żaden z nich porządnego „sztosu“ nie zrobi... Na dublę lada dureń potrafi, ja chciałem na kwartę!

„Kibice“ z uszanowania nie tyle dla cudzej wolności, ile dla kijów, któremi grający byli uzbrojeni, cofali się od bilardu; wkrótce jednak znowu wracali, aby dawne robić uwagi.

Z pokoju, w którym jesteśmy, a który w języku właściciela kawiarni i jego służby nazywa się szumnie „salą bilardową“ wchodzi się do wązkiej i ciemnej szyi, a dopiero z tamtąd do dalszych apartamentów, gdzie słychać muzykę, spiewy i krzyki.

Zaledwie nasi znajomi drzwi za sobą zamknęli, stanął przed nimi chłopak w ubraniu podartem i niezmiernie poplamionem, z brudnym kołnierzem u koszuli i w butach połatanych, mając przez ramię przerzuconą serwetę tak samo czystą jak jego odzienie. W ręce trzymał czarną kawę, którą niósł gościowi; ujrzawszy nieznanych sobie dwóch panów, stanął i zawołał:

— Dobry wieczór! Co panowie każą dać?

Garbus uważnie spojrzał w około.

— Nie ma tu pana Walerego? — zapytał.

— Którego proszę? Do nas nie jeden przychodzi.

— Redaktora.

— Jest tam! — odrzekł, pokazał przez ramię na apartament znajdujący się po drugiej stronie ciemnej szyi, i nie dbając więcej o nowoprzybyłych, którzy nie mieli zostać w jego „sali“, poszedł do swojego gościa.

Nasi znajomi minąwszy szyję dość szczęśliwie, Stern bowiem wywrócił w niej tylko jednę próżną flaszkę, których tam stało kilkadziesiąt, garbus zaś nie zbyt mocno stłukł sobie kolano o naczynie z wodą, w którem służba szklanki myła, weszli do pokoju, gdzie już było gwarno i wesoło.

W rogu pod piecem siedziały dwie harfinistki, z których jedna spiewała fałszywie sopranem, druga jeszcze fałszywiej altem; obok nich stało kilku mężczyzn dobrze podchmielonych, którzy po każdej zwrotce pieśni wyuzdanej, śmiejąc się głośne brawa bili; przy stolikach widać było figury najrozmaitszego wieku, począwszy od młodzików gołowąsych, a skończywszy na starcach z białym jak mleko włosem; nakoniec za ladą, na której stały flaszki z wódką, koniakiem i winem, szklanki, malutkie z cukrem miseczki i talerze z suchemi ciastkami, siedział jegomość niski i otyły, może pięć-

dziesięcioletni. To pan Wojciech Tatarkiewicz zwany powszechnie Wojtusiem, właściciel kawiarni pod Dziką wroną. Twarz jego dobroduszna, nawet jowialna, tylko w oczkach malutkich ma coś tak niemiłego, że kto go bliżej nie zna, czuje wstręt do niego. Przeciwnie stali goście bardzo go kochają, a są między niemi i tacy, którzy go nawet czczą dla jego religijności, bo jakkolwiek Wojtuś ma kawiarnię do rana otwartą, nie zapomina on o Bogu, i codzień świtaniem, zanim po kampanji całonocnej do snu się ułoży, spieszy do OO. Jezuitów na pierwszą mszę św., której słucha klęcząc przykładnie.

Garbus nie widząc i tu pana Walerego, zbliżył się do lady.

— Gdzie jest pan redaktor Żylewicz? — zapytał.

Wojtuś wskazał palcem na drzwi przeciwległe, które były zamknięte. Nasi znajomi udali się w tamtą stronę, a otworzywszy drzwi niegdyś na biało lakierowane, dziś czarne z brudu, zeszli po trzech stopniach do pokoiku, mającego ledwie kilka sążni kwadratowych. Było to sanctuarium kawiarni, miejsce wybrane dla honoracjorów. Wprawdzie anioł z mieczem ognistym nie strzegł tego przybytku, lecz goście wiedząc kto tam zwykle przesiaduje, sami się nie zapuszczali poza jego progi.

Godzina nie jest jeszcze późna, więc i osób tu nie wiele. Pod oknem jakiś starzec drzymie; przy nim drugi wypróżnia flaszkę „zieleniaku"; nieco dalej dwaj młodzi ludzie czaj pijąc w kości grają, a obok pieca, w miejscu ustronnem i zacisznem, na sofie drelichem obitej siedzi ten, kogo nasi znajomi szukają. Po lewej ręce ma kasjerkę, osobę nie pierwszej już młodości, którą w pół obejmuje i trzyma prawie na kolanie; po prawej mężczyznę, którego zachowanie się i ubiór zdradzają pochodzenie małomiasteczkowe. Pan Walery cicho z nim rozmawia. Przed nimi na stole widać wódkę i wino.

— Nie bój się pan, nic ci nie będzie — kończył z naciskiem — moja w tem głowa! Tak im nasolę, że ich djabli wezmą.

— Jak tak, panie redaktorze... Ja panu jutro przyniosę dowody, że Parnicki chcąc koniecznie burmistrzem zostać, podał na mnie skargę i rozgłasza wieści o malwersacjach, których nigdy nie było... Słowo honoru panie redaktorze!

— Ależ ja ci wierzę panie Macieju! No napijmy się „szpagatówki."

Kasjerka nalała dwa kieliszki żytniówki, które rozmawiający natychmiast wypili, trąciwszy się wpierw kieliszkami po przyjacielsku.

— A gdzie ja też pana redaktora jutro zastanę?

— Tu napewne... Ja tu codzień przychodzę badać opinję... Trzeba przecie trzymać rękę na pulsie kraju. Prawda Zosiu?

Temu zapytaniu musiał towarzyszyć ruch niezwyczajny, skoro nawet kasjerka uznała za stosowne szybko się podnieść i opryskliwie odpowiedzieć:

— Fe, jaki z pana paskudnik! Nie wstydzi się, chociaż ma żonę i dzieci.

— Ej! Zosiu, nie „granicz" ze mną, bo jak Boga kocham wsadzę cię do gazety!

Mówiąc to uśmiechał się i palcem jej groził.

Skorzystajmy z tej sposobności, by mu się przypatrzeć. Figura to niewielka, ledwie dwułokciowa, sucha i nikła. Niktby też na nią uwagi nie zwrócił, gdyby nie głowa olbrzymia, która spoczywa na drobnym korpusie, jak makówka na cienkiej szypułce. Głowa w jednej połowie łysa, w drugiej pokryta jak heban czarnym włosem. Twarz duża, trędowata, nos gruby i czerwony, oczy siwe, wyraziste, broda i wąsy także czarne i gęste. Mimo że ma lat blisko pięćdziesiąt, siwizna jeszcze mu się dotąd nigdzie nie rzuciła.

W chwili gdy kasjerka zadąsana chciała coś stosownego odpowiedzieć, zjawili się garbus i Stern. Pierwszy do pana Walerego podchodząc, podał mu rękę i rzekł:

— Dobry wieczór panie redaktorze.

— A to ty szwajnogo, jak że mi się miewasz? Zkąd cię znowu djabli przynieśli?

Pan Walery uważał się w kraju za pierwszego demokratę, więc i sposób jego mówienia był zawsze demokratyczny.

— Przyjechałem na kilka dni do miasta — garbus odpowiedział.

— Dobrze dobrze.... A to co za morda? — dodał ku Sternowi palec wyciągając.

— To pan Jakób Stern, właściciel Ludaczowa, którego jestem sekretarzem.

Podczas gdy garbus to mówił, Stern uśmiechał się i kłaniał.

— Czemużeś mi tego szwajnogo zaraz nie

powiedział? — zawołał pan Walery prawie gniewnie, z trudnością na nogi wstając, a obróciwszy się do Sterna dodał: — Niech się pan nie gniewa za radykalne przywitanie, lecz anim przypuszczał, że tak zacnego obywatela zobaczę.

— Źleby ten wyszedł, ktoby się na pana redaktora gniewał! — odrzekł Stern z uśmiechem i podaną sobie rękę serdecznie uścisnął.

Pan Walery mimo, że już od godziny był pod dobrą datą, prędko się domyślił, że nowoprzybyli muszą mieć do niego ważny interes, skoro go aż tu odszukali; aby im tedy rozmowę ułatwić, zwrócił się do burmistrza, z którym przedtem rozmawiał i zapytał:

— Masz pan jeszcze co powiedzieć?

— Dziś nic więcej.

— To się pan wynoś!

Burmistrz wstał i „polecając się pamięci pana redaktora“, wyszedł na palcach za kasjerką; Stern i garbus usiedli obok pana Walerego. Po kilku słowach ogólnikowych, Stern jakby sobie nagle co przypomniawszy, wyciągnął rękę do dzwonka na stole i zaczął silnie dzwonić.

— Na co pan hałasujesz? — redaktor zapytał.

— Przecie nie będziemy tak siedzieli... musimy napić się trochę mydlinek.

— Cóż to takiego?

— No, szampan... on tak się pieni jak mydliny.

Stern był szczęśliwy, że mu się taki dowcip udał.

— Na co nam szampana? — pan Walery szorstko odparł. — Szampan dla moskiewskich oficerów! Polacy piją szpagatówkę! Jeźliś pan zatem przyszedł ze mną się widzieć, musisz tak skakać, jak ja ci zagram.

— No czemu nie...

— Jeźli tak, to przejdziemy razem cały płodozmian, bo trzeba panu wiedzieć, że i my w mieście umiemy prowadzić gospodarstwo poprawne, dwunastopolowe.

Stern zaintrygowany spojrzał na garbusa.

— Zaczynamy od szpagatówki — mówił dalej pan Walery — po niej idzie piwo, potem szpagatówka, wino, szpagatówka, miód, szpagatówka, koniak, szpagatówka, knikebein, szpagatówka, a na końcu, ma się rozumieć dopiero rano, przychodzi czarna kawa... Jeźli humory są dobre, na pożegnanie pijemy jeszcze po jednej szpagatówce, lecz ten trzynasty toast nie należy już do reguły... I cóż pan na taki płodozmian? Zadanie, jakie w waszem gospodarstwie spełniają trawy pastewne, my powierzamy szpagatówce, która znakomicie przygotowuje rolę pod nową siejbę. Hej! Zosiu! — krzyknął do kasjerki, która na głos dzwonka dopiero teraz weszła -- przynieś nam butelkę starki litewskiej, tej, co to Wojtuś ma w osobnej szafce, potem piwo i tam dalej, cały płodozmian!

Sternowi robiło się zimno i gorąco na przemianę. Jako żyd był trzeźwy z natury i dotąd się nie zdarzyło, by się kiedy upił... Teraz musiał się na to z góry przygotować, że trzeźwym ztąd nie wyjdzie. Jako człowiek przezorny, nie bał się może tyle bolu głowy wraz z innemi nieprzyjemnościami, których nie sposób oddzielić od upicia się, przez pomięszanie różnych napojów, ile może zwyczajnej w takich razach wielomowności, wśród której często gęsto wyrywają się słowa niepotrzebne... Refleksja przyszła mu jednak za późno. Skoro potrzebował pana Walerego, chętnie czy nie chętnie musiał słuchać jego komendy.

Po pierwszym kieliszku wódki i szklance piwa, dał ukradkiem znak sekretarzowi, żeby wyszedł.

Ten tylko na to czekał. Wziął kapelusz i cichutko wyniósł się do drugiego pokoju, gdzie kazał sobie dać filiżankę czarnej kawy. Pijąc ją powoli, słuchał dźwięku harf rozstrojonych i głosów fałszywych. Jego pryncypał tymczasem rozmawiał już na dobre z głównym filarem Teraźniejszości.

Najpierw opowiedział mu swoje szlachetne postępowanie w dobrach ludaczowskich, jak młodzież szkolną wspiera, jak szlachtę ratuje, jak włościan od nędzy wybawia. Pan Walery odrzekł na to, że doskonale sobie przypomina liczne korespondencje, w których jego nazwisko było pod niebo wynoszone, a które on sam, często nawet wbrew woli naczelnego redaktora i właściciela gazety, w Teraźniejszości umieszczał. Stern podziękowawszy mu uśmiechem, mówił dalej o swoim patrjotyźmie, jak to on o niczem nie marzy jeno o Polsce od morza do morza, że Moskali całą duszą nienawidzi, że w domu u niego wszystko po polsku, że na ścianach jego kancelarji wiszą Ks. Józef i generał Kniaziewicz, że córka jego od rana do wieczora gra tylko „Jeszcze Polska nie zginęła“ i „Grzmią pod Stoczkiem armaty“, nakoniec że tylko dla tego trzyma sekretarza, który go niezmiernie drogo kosztuje, iż nie chce z władzami po niemiecku korespondować. Redaktor słuchając po-

trząsał głową na znak, że nie wątpi o prawdziwości słów mówiącego.

— Myślałem, że jeźli będę prawdziwym Polakiem wyznania mojżeszowego — kończył Stern prędko, jakby w obawie by mu słowa nie uciekły — że wtedy wszyscy będą w obec mnie tak postępowali, jak na to zasługuję. Miałem zostać posłem, no i byłbym pewnie został, gdyby nie ten gałgan Gozdawa.

— Cóż to za jeden?

— To ten, o którym mój sekretarz pisał do Teraźniejszości na drugi dzień po zgromadzeniu u naszego marszałka, ale panowie nie wiem czemu nie umieścili tej korespondencji.

— Aha! coś sobie przypominam... Prawda, dla tegośmy nie umieścili, że była zanadto zjadliwa. Prócz tego Gozdawici to dobra szlachta, a Teraźniejszość liczy się ze szlachtą.

— Co to za szlachta!... To gałgany, kapcany. Za pół roku i ojciec i syn pójdą z torbami.

— Więc to on panu tak szkodzi?

— Tak jest, on... Przez niego nie zostałem posłem z większych posiadłości, przez niego mogę i teraz w gminach upaść, chociaż mnie to strach ile kosztuje, bo on nic nie robi, tylko od rana do wieczora jeździ i przeciw mnie agituje. Czy dałby pan wiarę, że kilka dni temu u księdza łacińskiego w Ludaczowie, gdzie było kilkunastu panów, te słowa powiedział: Kto dla tego żyda stawia, iż się lęka, by z urny Rusin nie wyszedł, temu z bolem serca muszę oświadczyć, że postępuje jak owca, która z obawy, by jej kozieł nie pobódł, sprzymierza się z hyeną.

— Co? On to powiedział! — pan Walery przerwał.

— Słowo honoru że powiedział.

— Więc to chyba jakiś Moskal!

— Tak jest, Moskal, *ein grosser Reactionaer!* — zapalając się Stern zawołał. — On tak nie mówi jak panowie, że żydom trzeba pomagać, aby byli dobrymi Polakami, tylko chce żebyśmy sobie poszli *fort nach Palestina.* Niech pan powie, czy to nie jest *feudal und klerikal?*

Widocznie dzięki szpagatówce Sternowi zaczynał się język plątać, coraz bowiem częściej przeplatał już polskie słowa niemieckiemi okrzykami.

Pan Walery pił wino i dumał. Po niejakim czasie Stern znowu zaczął mówić, tym razem tak po cichutku, że nikt jego słów nie słyszał. Redaktor głową potrząsał. Stern sięgnął po pugilares, wyjął z niego 25 guldenów w banknotach pięcioreńskowych i usiłował wsunąć to w rękę panu Waleremu. Ten niby się bronił, wkrótce jednak siła odporna znacznie w nim osłabła, poczem banknoty utonęły w kieszeni jego surduta.

— Przecie ja od pana redaktora nic nie żądam tylko sprawiedliwości, a ta bagatelka za fatygę... Jak go pan opisze, ręczę, że przestanie agitować.

— Dobrze panie Stern, dobrze.

— Warto by mu powiedzieć przy tej sposobności, że jest *Curpfuscher*!

— Nie bój się pan i to będzie...

— Tylko żeby mogło być jutro, bo za 10 dni wybory.

— Zdaje mi się, że będzie...

Stern posiedziawszy jeszcze kilka minut, zadzwonił na kasjerkę, a gdy ta przyszła, zażądał rachunku.

— O! poczekaj pan chwilkę! — redaktor zawołał. — Wszak jesteśmy dopiero w połowie naszego płodozmianu! Jeżeli dla pana co zrobię, to jedynie za to, że mi towarzystwa dotrzymujesz. Ja szwajnogo pieniędzy nie potrzebuję, tylko przyjaźni.

Już do kieszeni sięgnął, by mu w oczy pieniądzmi rzucić, które niedawno przyjął, Stern jednak za rękę go przytrzymał.

— Niech się pan redaktor nie gniewa... *ich weiss doch wie man lustig lebt!*... Czy to ja u Sperla nie bywał, albo w Orpheum? Ojoj! żebym teraz to miał, com tam stracił! *Ich bin doch ein Lebemann!*

I jakby dla okazania, że się niczego nie boi, duszkiem szklankę wina wychylił. Odtąd rozmowa przeszła na przedmioty rozmaite, a że się robiła coraz głośniejszą, więc i reszta osób, znajdujących się w tym pokoju, ośmielona dobrym humorem redaktora i jego towarzysza, zbliżywszy się do nich rozmawiać zaczęła.

Garbus kilka razy do drzwi podchodził, cicho je otwierał i do środka zaglądał; widząc jednak co tam się dzieje, cofał się na dawne miejsce i żądał nowej filiżanki czarnej kawy. Harfinistki grały tymczasem coraz nieharmonijniej, goście tracili coraz więcej przytomność, z przyległego pokoju dolatywały coraz głośniejsze krzyki, zmięszane z dźwiękiem tłuczonych szklanek i kieliszków.

Nagle drzwi się otwierają i Stern wpada jak opętany. Na twarzy przerażająco blady, oczy krwią zabiegłe na wierzch mu wysadziło, na ustach piana się pokazywała, na głowie włos mu się zburzył, rękami wymachuje jak wiatrak skrzydłami. Przybiegł do harfinistek, i pięć guldenów im rzucając, krzyknął:

— *Spielts „Fort nach Kreta“!*

Dziewczęta podniosły pieniądze i w tejże chwili dał się słyszeć znany kankan Offenbacha.

Stern chwycił się za głowę i w takt muzyki począł obracać się prędko, coraz prędzej, jak wrzeciono, co widząc pan Walery, który we drzwiach się pojawił, zawołał:

— A to się szwajnoga odudlał!

Stern w rzeczy samej był pijany; przeciwnie jego towarzysz był jeszcze całkiem przytomny. Na dworze zaczynał się dzień robić. Garbus nie wiedząc na czem to się skończy, podszedł do redaktora.

— Może byśmy już poszli — rzekł.

Pan Walery spojrzał na zegarek.

— Pół do szóstej — odpowiedział — możemy zatem wynosić się po malutku.

Zatrzymał Sterna, który kręcąc się ludzi roztrącał i przy pomocy garbusa zaprowadził go do lady, gdzie ciągle jeszcze siedział Wojtuś uśmiechnięty.

— Rachunek! — krzyknął.

— Już em go przygotował, proszę...

Stern rzucił na niego błędnem okiem i do kieszeni sięgnął po pieniądze.

— Co? Jedenaście papierków i pięćdziesiąt centów? — redaktor zapytał.

— Tak jest — Wojtuś odpowiedział. — Trzy piwa 24...

— Daj pokój, daj! Przecie ja mam rachunek tu! — Przy tych słowach palcem w czoło się uderzył. Potem przybrał minę poważną i skinąwszy na kilka osób, aby się zbliżyły, spojrzał na właściciela kawiarni i tak przemówił:

— Pańskie imię i nazwisko!

— Wojciech Tatarkiewicz.

— Wiek, miejsce urodzenia, religja?

Wojtuś oczy wytrzeszczył.

— Odpowiesz pan czy nie? — Walery głośno zawołał.

— Lat pięćdziesiąt jeden... urodzony w Krakowie, religji rzymsko-katolickiej.

— Okoliczność obciążająca, — przerwał redaktor. — Żonaty? Bezdzietny?

— Żonaty — wyjąkał Wojtuś — ojciec pięciorga dzieci.

— Okoliczności wielce obciążające... Otóż wiedz teraz panie Wojciechu Tatarkiewiczu, że ponieważ kiedyś zobaczymy się wszyscy na dolinie Jozafata, nawet ten oto żyd, Jakób Stern, z pewnością tam będzie, więc gdy pan Bóg sądzić nas zacznie, ja wezmę ciebie, żebyś stanął z tą oto książką i zapytam, ażaliś nas nie skrzywdził rachunkiem fałszywym. Jeźli chcesz tego uniknąć, jak również kary w piekła czeluściach, to przeglądnijże go raz jeszcze i odpisz coś dopisał.

Wojtuś, który dotąd nie wiedział, do czego zmierzała indagacja, wolniej teraz odetchnął i wziąwszy rachunek począł go trutynować.

-- Rzeczywiście — szepnął — omyliłem się o 2 guldeny i 75 centów... Ale niech się panowie nie dziwią, człowiek siedzi całą noc... w oczach...

— Dwoi się, dwoi, — Pan Walery dokończył.

Stern wyjął pieniądze, ale mimo że był bezprzytomny, przypatrywał się uważnie rachunkowi i każdą monetę, których gospodarz kilka mu wydał, na wszystkie strony oglądał. Garbus wziął go pod jedno ramię, pan Walery pod drugie i tak wyszli z kawiarni.

Na dworze już dobry dzień się robił.

Świeże powietrze owiało idących. Stern postąpił kilka kroków i jak wryty stanął.

— Po co wy mnie prowadzicie?... *Wus i' dus?* Przecie ja Stern, *a mane munes* Stern! Ja nie chcę mieć *nichts mit der Polizei, nichts, nichts!* Tego z czarną brodą... ja nie znam, *a mane munes!*

— Ududlał się — pan Walery śmiejąc się zawołał.

Garbus milczał. Stern spojrzał najpierw na jednego, potem na drugiego i jakby sobie dopiero teraz przypomniał, w czyjem jest towarzystwie zwiesił głowę i szedł dalej spokojnie.

Niedaleko był hotel, w którym mieszkali nasi znajomi. Gdy stróż bramę otworzył, garbus chciał wejść ze swoim pryncypałem.

— Zostaw go! — rzekł redaktor — szwajnoga niech idzie sam spać. Ty zaś odprowadź mnie!

Posłuszny rozkazowi poszedł za panem Wa-

lerym. Ten jednak zamiast ku domowi, skierował kroki swoje w stronę miasta wręcz przeciwną.

— Jeźli się nie mylę, pan gdzie indziej mieszka.

— Wiem... wiem... teraz jednak muszę pójść przebłagać lary i penaty.

Szli jeszcze długo w milczeniu, póki nie znaleźli się na targowicy, gdzie już dobry ruch panował. Redaktor stanął przed straganem opasłego rzeźnika.

— Panie Bartłomieju, dajcie mi cztery funty pięknego mięsa.

— O! dla pana redaktora mam doskonałą zrazówkę, zaraz odważę. Wpierw jednak ośmielę się poskarzyć na mego sąsiada, Jędrzeja, to ten sam złodziej proszę pana, co to go z magistratu wypędzili, otóż on szczeka, że u mnie waga fałszywa i mięso z padliny. Gdyby go też pan dobrodziej wpakował do gazety. Jabym zato czasem jaki funcik...

— Dobrze panie Bartłomieju! dobrze... Przyjdźcie do mnie jutro rano do domu, to sobie spokojnie pogadamy.

Rzeźnik podziękował, zamiast czterech funtów odważył sześć, aby redaktor wiedział, że u niego waga sprawiedliwa, zawinął mięso w papier i chciał dać chłopcu aby odniósł,

Pan Walery sprzeciwił się temu i wziął mięso.

Garbus podprowadził go jeszcze kawałek, potem wymówiwszy się bolem głowy, wrócił do hotelu. Pan Walery poszedł sam do domu.

We drzwiach niepokaźnego dworku na przedmieściu, stała kobieta młoda jeszcze i piękna, ale blada i zbolała, jak jedna z tych męczennic, których świat tyle już spalił na życia stosie. Pan Walery przechodząc obok niej, słowa nie przemówił, tylko mięso jej rzucił i wszedł do sieni. Z tąd przez drzwi na lewo, dostał się do kuchni, z tamtąd do pokoju, w którym troje dzieci spało. Tu stanął na palcach, i jak mógł najciszej zbliżył się do łóżka, na które rzucił się w ubraniu.

Niedługo potem żona płukała mięso w kuchni, mąż zaś chrapał na łóżku.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

MARYNA.

BALLADA przez K. H.

Tam na krańcu olszyny,
Pośród pięknej doliny,
Którą potok srebrzysty przerzyna,
Leży wioska bogata,
W niej zagroda i chata,
W której piękna mieszkała Maryna.

Smukła, pełna urody,
Usta niby jagody,
A nad węgiel czarniejsze jej oczy;
Róże bladły zaćmione,
Jak królowe zwalczone,
W ciężkich splotach jej kruczych warkoczy.

Każdym oka połyskiem,
Każdym ręki uściskiem
Jedno serce u nóg swych posłała,
Wszyscy młodzi wzdychali
I o miłość błagali,
Ale ona się śmiała i śmiała.

Czy przy żniwie na łanach,
Czy w gospodzie przy tanach
Jak rusałka obłudna zwodziła,
To wejrzeniem wymownem,
To uśmiechem czarownym
Zachęcała, to znowu szydziła.

Aż tu w porze jesiennej,
Z dzikiej wrzawy wojennej
Młody Staszek do domu powraca,
Oko błyszczy mu śmiałe,
Kręci wąsik zuchwały,
Krzyż walecznych mu piersi ozłaca.

„Coś Maryna zmieniona“ —
Szepce młodzież zdziwiona,
„Bo się już tak wesoło nie śmieje;
„Czegoś biedna się smuci,
„Czasem tęskno zanuci,
„Czasem łezka w jej oku jaśnieje“.

Raz o słońca zachodzie,
Gdy na ławie w zagrodzie
Siadła sobie Maryna i marzy,
Przyszedł Staszek do chaty
I niebieskie bławaty
I stokrótki przynosi jej w darze.

Przy Marynie usiada,
Kwiaty w ręce jej składa
I tak mówić poczyna jej szczerze;
„Wiesz że dawno już skrycie,
„Kocham ciebie nad życie,
„Przyjm dziś serce i rękę w ofierze.

„Choć nie jestem bogaty,
„Mam zagrodę i chatę
„I mam serce co bije dla ciebie,
„A gdzie miłość i praca,
„Tam i Pan Bóg wzbogaca,
„Niedopuści, by brakło na chlebie“.

A Maryna zadrzała,
Twarz w fartuszek schowała,
W jego dłoń chciała swoją już włożyć:
Lecz w tem myśl jej przychodzi,
Że to przecież nie szkodzi
I ze Staszkiem się troszkę podrożyć.

„Że go kocham tak szczerze
„Dość jak jutro mu zwierzę,
„Dziś mi jeszcze za mało błagania“. —
Więc się głośno zaśmiała
I z ławeczki powstała
I do chaty uciekła jak łania.

On rękami drżącemi
Zebrał kwiaty ze ziemi,
Które ona — niebaczna — rzuciła;
Wstał i z twarzą złowrogą
Leśną puścił się drogą,
Kędy dawna tatarska mogiła.

A nazajutrz, gdy dniało,
Coś się zdala bielało
Na tatarskiej mogile pod lasem
I kosarze struchleli,
Gdy tam Staszka ujrzeli —
W sercu kozik, co nosił za pasem. —

Cała wioska w rozpaczy.
Słychać wrzawę i płacze —
Gdzież Maryna, czyż nic nie słyszała?
Dokąd sama tak goni
Przez moczary i błonie,
Czyż do leśnych rusałek przystała?

Pod cmętarzem z tej strony,
Gdzie jak starzec strapiony
Stary jawor ku ziemi się chyli,
Tam o słońca zachodzie
W pogrzebowym pochodzie
Staszka zwłoki do grobu złożyli.

Już i północ wybiła;
Pod cmętarzem mogiła
Leży cicho przy świetle księżyca. —
Broń nas Panie od złego!
Cóż tam widać białego,
Czy to widmo, czy w bieli dziewica?

Stary grobarz strwożony
Słyszy jęki stłumione,
Dzikie żale i skargi i płacze,
Słyszy — Boże na niebie
Na cmętarzu ktoś grzebie!
Słyszy wykrzyk ostatni rozpaczy.

Potem nic już nie słyszał;
Tylko puszczyk zakrzyczał
Nad mogiłą ze szczytu jaworu;
Drugi puszczyk przed brzaskiem
Przeraźliwym swym wrzaskiem
Z poblizkiego odezwał się boru.

Zrana wskutek narady,
Ksiądz na czele gromady,
Spieszy tamę położyć zaklęciu:
Na otwartej mogile
Dwie postacie zoczyli,
Dwoje trupów w śmiertelnem objęciu.

Z grobowego go łona
Wygrzebała szalona,
Zimne zwłoki w objęciach swych pieści,
Jego serce przebite,
Wskróś kozikiem przeszyte,
Jej zaś pękło z rozpaczy, z boleści.

Razem w jednej mogile
Ich oboje złożyli,
A na grobie dwa bluszcze wsadzają,
Bluszcze jeszcze dziś żyją
I o jawor się wiją
I uściskiem na wieki splatają.

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy).

Doszli wreszcie do powozów, obok siebie stojących. Drogi się tu rozchodziły. Szosa szła prosto, a po lewej stronie widać było drogę węższą, przez pola do wsi zapewne prowadzącą, którą teraz mgła gęsta zasłaniała.

— Tu musimy się pożegnać — nieznajoma westchnęła nieznacznie. — Panowie zapewne szosą jedziecie, a mój cel podróży tam — ręką na lewo wskazała.

— Ale przecież pani mieszka ztąd niedaleko? — przerwał Edmund z żywością — proszę za wszystko o przebaczenie. Te elementarne przypadłości, tak mi głowę zawróciły, iż o wszelkiej etykiecie zapomniałem, dotąd nawet nas pani nie przedstawiłem. Pozwól pani bym teraz błąd mój naprawił, spowodowany tak niezwykłą sytuacją i... — gwałtowny wicher rzucił mu najprzód w twarz grudę śniegu, a następnie podnosząc pelerynę od płaszcza oczy mu nią zupełnie zasłonił. Uspokoiwszy się cokolwiek, kończył przemowę — i... przedstawił się pani. Hrabia Edmund Ettersberg, który

ma zaszczyt przedstawić pani jednocześnie swego kuzyna Oswalda Ettersberg. Używany w tym razie niski ukłon racz nam pani darować, gdyż miły wietrzyk północny, mógłby nas za kark schwycić z nienacka i rzucić w śnieg do nóg twoich.

Nieznajoma wpatrzyła się zdziwiona w mówiącego:

— Więc pan jesteś hrabią Edmundem, ordynatem na Ettersbergu?

Usteczka nieznajomej z trudnością powstrzymywały gwałtowny wybuch śmiechu.

— I pan byłeś moim opiekunem, pożyczaliśmy sobie konie nawzajem. To przewyborne!

— Moje nazwisko nie zdaje się być pani obcem. Czy mógłbym dowiedzieć się również...

— Kim ja jestem? Tego panu nie powiem, w żaden sposób powiedzieć nie mogę! Życzę nawet po przyjacielsku nie wspominać o tem spotkaniu w Ettersberg, jak i ja również w domu ani mruknę o tej całej historji. Chociaż spotkanie było całkiem przypadkowe i nie z naszej winy, mogłoby to nas wplątać w niemiłe kolizje i sprowadzić na nasze głowy niewinne grad wymówek, — mimo chęci utrzymania się w powadze, nieznajoma wybuchnęła śmiechem tak głośnym i przeciągłym, że aż zimny Oswald odwrócił się zdziwiony, Edmund natomiast uznał za stosowne wtórować pięknej nieznajomej.

— Są więc między nami jakieś tajemnicze prądy, o których dotąd nie mam najmniejszego wyobrażenia. Muszą być jednak wesołej natury, a skoro pani nie chcesz zdradzić chwilowo swoje incognito, pozwól przynajmniej bym się śmiał razem z tobą.

— Powozy dawno stoją gotowe — przerwał Oswald wybuch wzajemnej wesołości — najwyższy czas wsiadać!

Oboje śmiać się przestali, a ich kwaśne miny dostatecznie okazywały, jak szorstkiem i beztaktownem wydało im się Oswalda przemówienie. Nieznajoma dumnie się wyprostowała, mierząc od stóp do głowy natręta, następnie nie skinąwszy mu nawet głową na pożegnanie, pokazała mu plecy i milcząc do swojego powozu podeszła. Edmund rozumie się za nią pospieszył i usuwając stojącego przy drzwiczkach woźnicę sam ją wsadził i otulił w powozie najstaranniej.

— Więc nieodwołalnie wzbraniasz się pani wyjawić mi kogo szczęśliwy wypadek sprowadził na moją drogę? Chociaż spotkanie trwało chwilę krótką i przelotną, niestety! nie wyjdzie ona jednak nigdy z mej pamięci! — mówiąc to patrzał jej czule w oczy.

— Nie panie hrabio, odemnie się pan o tem nie dowiesz, lecz w Ettersberg powiedzą ci to aż nadto prędko, notabene, jeżeli tam znany jest mój rysopis. Jeszcze jedno pytanie. Czy pański kuzyn jest zawsze tak grzeczny, i tak... udzielający się, jak dzisiaj?

— Uderzyło panią zapewne, że oprócz kilku szorstkich uwag, słowa więcej nie przemówił. Niestety, takim on jest najczęściej względem obcych. A co do grzeczności — Edmund ciężko westchnął — nie uwierzyłabyś pani ile razy muszę pośredniczyć i naprawiać błędy, przez niego w tym kierunku popełniane.

— Trzeba przyznać, że oddajesz się pan temu zadaniu, z poświęceniem godnem uznania — zauważyła drwiąco nieznajoma — a jakaś siła niewidoma przykuwa pana do stopnia powozu. Już znowu stoisz pan na nim niewzruszony.

Istotnie stał, jakby nigdy z niego zejść nie myślał. Stary jednak woźnica wziąwszy cugle w rękę tak energicznie palnął z bata,' na znak swojej niecierpliwości, iż młodzi uznali za stosowne rozłączyć się nareszcie.

— Tysiączne dzięki za pomoc udzieloną — nieznajoma główką skinęła, przyjaźnie rękę do niego wyciągając — i... żegnaj panie hrabio! — z westchnieniem dodała.

— O! zostaw mi pani choć iskierkę nadziei mówiąc „do zobaczenia!“ — przerwał jej namiętnie.

— Przez miłosierdzie Boże! nigdy, nigdy! To sobie na wszelki wypadek z głowy wybić musimy. Wkrótce i pan to pojmiesz dostatecznie. A więc jeszcze raz żegnaj panie hrabio na Ettersbergu!

Słowa utonęły w nowym śmiechu wydaniu, a konie szarpnęły tak gwałtownie, że Edmund zeskakujący o mało na wznak nie upadł.

— Czy raczysz wsiąść nareszcie — mruknął Oswald niechętnie — tak ci było pilno dostać się do domu, a teraz tyle czasu stwoniliśmy.

Edmund powiódł jeszcze wzrokiem za powozem unoszącym rozkoszne zjawisko, a gdy znikł na zakręcie drogi, zdecydował się wsiąść do powozu.

— Oswaldzie, kto była ta dama? — żywo zapytał.

— Mnie się pytasz? A zkądże ja mam wiedzieć?!

— Tak długo szedłeś obok powozu, musiałeś się przecie spytać woźnicy?

— Nie jest to w moim zwyczaju, z cudzych sług ciągnąć protokół. Zresztą nic a nic mnię ta rzecz nie interesuje.

— Ale mnie za to nadzwyczajnie! — rzucił się Edmund niecierpliwie. — O! to całkiem w twoim guście! Nie uznał za potrzebne zadać sobie pracy i zrobić chociaż jedno pytanie, by dowiedzieć się kto jest ta zachwycająca nieznajoma! Dziwne zjawisko! Jakby iskry elektryczne sypała naokoło siebie! Przyciąga i odpycha jednocześnie. W tej samej minucie upoważnia cię prawie do poufałości, a gdy się zanadto ośmielisz, zmusza jednym rzutem oka do zmiany frontu i do tonu pełnego uszanowania. Rozkoszny mały djabełek!

— Tylko niezmiernie popsuty i rozpieszczony — wtrącił zimno Oswald.

— Nieznośny z ciebie pedant! Wszędzie znajdziesz coś do zganienia. Właśnie ta śmiałość i energja, robią ją tak zachwycającą; bo niepodobna do całej rzeszy panieńskiej, na jedną formę umodelowanej. Kto ona jest do kata?! na powozie żadnego herbu, woźnica bez liberji. Jakaś rodzina mieszczańska, która się w naszych stronach okupiła. Nas zna widocznie. Dlaczego jednak nie chciała nam nazwiska swojego wyjawić?

W jakich ona może być z nami stosunkach? Daremnie sobie nad tem głowę łamię.

Oswald widocznie nie podzielał entuzjazmu swego kuzyna i uważał za zupełnie zbyteczne „łamanie sobie głowy“ nad tym przedmiotem. Siedział jak przedtem wciśnięty wkąt powozu i milczał zawzięcie. Nie napotkali więcej zasp śnieżnych, jednak konie zmęczone wlokły się leniwo i już dawno noc zapadła, gdy powóz stanął przed zamkiem.

Sień duża i wspaniałe marmurowe wschody, były rzęsiście oświetlone, liczna służba przed gankiem czekała. Siwy jak gołąb kamerdyner wysunął się pierwszy i drzwiczki otworzył.

— Jak się macie kochany Eberhardt — zawołał Edmund wesoło, spostrzegłszy staruszka, który go wypiastował — czy wszystko w domu dobrze zastajemy?

— Dobrze, dzięki Bogu! tylko pani hrabina od dwóch godzin bardzo się o panów niepokoi.

W tej chwili na pierwszym stopniu ukazała się imponująca postać kobieca w sukni czarnej, aksamitnej. W okamgnieniu Edmund wyskoczył, pędem przebiegł kilka wschodów prowadzących ze sieni do wnętrza pałacu i rzucił się na szyję owej pięknej kobiecie, wołając:

— Mamo! najdroższa mamo! widzę cię nareszcie!

W tym krzyku był inny ton niż dotąd. Niebyło w nim owej wesołości lekkodusznej, owego ślizgania się po wierzchu życia, nigdy w jego głębią nie zaglądając. Tamto było żartem, tu tkwiła prawda i serce się odezwało, w całej pełni synowskiej miłości. Niemniej czule matka go do piersi przycisnęła, całując namiętnie i szepcąc przez łzy:

— Mój synu! Mój Edmundzie!

— Spóźniliśmy się, nieprawdaż? Drogi okropnie zawiane, i mieliśmy przytem całą awanturę!

— Jak mogłeś w ogóle puszczać się na taki czas pod noc w drogę? — odezwała się matka z czułą wymówką, gładząc lśniące syna kędziory. — Oczekiwałam na pewno telegramu, że w B. zanocujesz i jutro rano dopiero wyjedziesz...

— Aby jeszcze o dwadzieścia cztery godzin później ciebie zobaczyć! Nie mamo, tego nie byłbym w stanie uczynić, i tyś w to nie wierzyła!

Matka słodko się uśmiechnęła:

— Żem nie wierzyła, najlepszym dowodem mój straszny niepokój dzisiejszy. Chodź że teraz, chodź! Napij się co ciepłego i ogrzej się trochę po tem powietrzu zimnem i na wskróś przejmującem.

Wzięła syna pod ramię i ku drzwiom w głębi postąpiła; syn jednak spojrzał na nią z wyrzutem, a lekko za rękę wstrzymując, szepnął:

— Mamo, zapominasz o Oswaldzie.

Oswald stał dotąd ukryty za jedną z kolumn marmurowych, sklepienie sieni podpierających, i dopiero teraz wyszedł z cieniu, gdy usłyszał zimny głos hrabiny:

— A! witaj nam, witaj Oswaldzie.

Równie sztywno i zimno skłonił się Oswald i dotknął zaledwie ustami ręki stryjenki, mierzącej go okiem zdziwionem:

— Cóż to się stało? Twój ubior mokry zupełnie.

— Mój Boże! wszystko ci mamo opowiem. Musieliśmy wysiadać, brnąć w śniegu po kolana, i on mnie wtedy swoim płaszczem owinął. Oswaldzie! — zwrócił się do kuzyna z wymówką. — Czemuś mi przynajmniej w powozie płaszcza nie odebrał? Na wieki o nim zapomniałem, a tyś siedział dobrą jeszcze godzinę, cały przemokły, i w lekkim paletocie!

Położył troskliwie rękę na ramieniu Oswalda, ten jednak odrzucił dość opryskliwie, usuwając się z pod ręki:

— Nie troszcz się, nic mi nie będzie. Nie warto o tem mówić.

— I ja tak sądzę — zauważyła z miną kwaśną hrabina, której ta zbytnia troskliwość bardzo się nie podobała. — Wiesz przecie jak Oswald jest na wszelkie zmiany powietrza wytrzymały. Potrzebuje tylko suknie zmienić. Idź, przebierz się Oswaldzie. *A propos* — dodała od niechcenia — przeznaczyłam dla ciebie inny pokój, tam w bocznym skrzydle — ręką na lewo wskazała.

— A toż dla czego? — spytał syn mocno zafrasowany. — Zawsześmy dotąd razem stali.

— Wprowadziłam różne zmiany w twoim dawnym apartamencie — wtrąciła hrabina decydująco. — Potrzebowałam pokoju Oswalda, koniecznie! Myślę iż nie będzie nic miał przeciw temu. W skrzydle narożnem będzie mu równie wygodnie.

— Niezawodnie, kochana stryjenko!

Odpowiedź brzmiała spokojnie i obojętnie, a jednak coś w niej tknęło Edmunda. Zmarszczył czoło i już miał jakieś ostre słowo na ustach, lecz wstrzymał się przez wzgląd na służących. Mruknął tylko przez zęby:

— No, tę kwestję później omówimy — a głośniej dodał, biorąc czule za szyję kuzyna. — A teraz przebierz się natychmiast Oswaldzie! Jeżeli mi życzysz co dobrego! Nie możesz ani chwili dłużej w tych sukniach mokrych pozostać; i tak mam ciebie na sumieniu. Z herbatą na każdy sposób na ciebie poczekamy.

To mówiąc gorąco i serdecznie kuzyna ucałował.

— Edmundzie, czekam! — zabrzmiał głos suchy i ostry hrabiny.

— Zaraz mamo! Eberhardt poświeć panu Oswaldowi, i postaraj się o suche suknie dla niego.

Podał ramię matce, i wszedł z nią w pierwsze drzwi na prawo. Oswald, który na objaw czułości braterskiej ani ruchem, ani słowem nie odpowiedział, powiódł teraz wzrokiem za obojgiem, a biorąc lichtarz ze świecą zapaloną z rąk kamerdynera rzekł:

— Dobrze, dobrze panie Eberhardt, znam drogę, i sam trafię. Proszę tylko przynieść mi kufer podróżny.

Wszedł w długi korytarz, wiodący do bocznego skrzydła zamkowego. Tu jedna zaledwie lampka pło-

nęła; świeca jednak blaskiem swoim oświetlała dokładnie rysy Oswalda, które teraz zrzuciły przybraną maskę obojętności. Usta mu drzały, brwi ściągnął ponuro, a w twarzy kurczowo wykrzywionej, malowała się nienawiść tem głębsza, im więcej musiał się z nią taić i ukrywać.

— O! gdyby raz być wolnym! — jęknął.

Ród starożytny hrabiów na Ettersbergu, był niegdyś bardzo rozgałęziony; z biegiem jednak wieków całych, coraz liczba członków malała, aż wreszcie w czasach obecnych ograniczał się na hrabinie wdowie, i dwóch ostatnich nazwiska tego przedstawicielach: hrabiu Edmundzie ordynacie na Ettersbergu i na bracie jego stryjecznym Oswaldzie.

Ten ostatni dzielił los wszystkich młodszych synów w rodzinach, w których utrzymało się prawo majoratu. Bez żadnego majątku, zależał zupełnie od łaski głowy rodziny, to jest: od ordynata, tak długo, póki by sobie jakiej niezależnej pozycji nie zdobył. Nie zawsze jednak tak było. Gdy na świat przychodził, powitano go radośnie, jako przyszłego pana na Ettersbergu. Ówczesna głowa rodziny, Edmunda ojciec był starym, bezdzietnym wdowcem; jego więc jedyny, o lat kilkanaście młodszy brat, który dotąd służył wojskowo, mógł według wszelkiego prawdopodobieństwa uważać siebie za przyszłego ordynata. Gdy zatem po kilku latach małżeństwa i trzech córkach zmarłych dziećmi, syn przybył, radość była niezmierna, nawet i ze stryja strony, który widział w tym ostatnim potomku, uratowaną przyszłość rodu tak starożytnego. Pierwsze więc lata dziecięce Oswalda były otoczone nymbusem świetnych nadziei i widoków na przyszłość.

Wypadek najmniej spodziewany rozwiał te ułudne *fata morgana*. Przeszło sześćdziesięcioletni hrabia Ettersberg, nagle zaślubił pannę dwudziestoletnią. Wiadomość ta, do ostatniej chwili tajemnicą osłaniana, jak piorun z jasnego nieba w młodszego brata ugodziła. Mówiono z cicha, że rodzina młodej hrabiny — dobra szlachta, lecz majątkowo zupełnie zrujnowana — robiła wysilenia niesłychane, by zdobyć dla cudownie pięknej Emmy świetną partję; choćby ta w niczem nie odpowiadała wymaganiom i skrytym marzeniom jej młodej wyobraźni. Opowiadano, że zerwano nawet gwałtownie ścisłe węzły, które już jej serce przykuły do człowieka równie jak ona pięknego, młodego, z dobrej familji, któremu jednakże jej rodzina zarzucała wadę główną w ich oczach — ubóstwo. Czy ją do oddania ręki starcowi przymuszono, czy tylko namówiono?... o tem nikt tak dokładnie wiedzieć nie mógł... dość że przystała na związek niestosowny, według pojęć o małżeństwie ludzi sercowych i uczciwych; przez wielki świat atoli uważany jako szczyt szczęścia dla panienki ubogiej, która tym sposobem zyskiwała wielką fortunę i nader świetną pozycję socjalną.

Jak zwykle się dzieje w niedobranych małżeństwach, stary hrabia tak późno miłością rozgorzały, utonął w niej zupełnie, a gdy jeszcze w kilka lat później, powiła mu syna młoda i piękna małżonka, władza jej odtąd nad starym mężem była nieograniczoną.

Łatwo sobie wyobrazić, że brat młodszy, widząc nagle zniszczone najświetniejsze nadzieje, o których roił dla swojego jedynaka, nie przyjął bratowej zbyt przyjaźnie. Stosunek między braćmi, dotąd bardzo serdeczny, ostygł znacznie po ślubie starszego; a z bratową był już do śmierci na stopie wojennej. Choć znacznie młodszy, trawiony zgryzotami i niepokojem o los jedynaka, ojciec Oswalda umarł pierwszy; za nim żona pospieszyła, która w mężu cały swój świat widziała; a we dwa lata po nich i hrabia Ordynat przeniósł się do wieczności, zostawiając opiekę nad wdową i dwoma chłopcami nieletniemi, swemu szwagrowi, bratu rodzonemu Emmy, który głównie skleił jej związek z hrabią Ettersbergem. Odtąd więc gdzie tylko zachodziła potrzeba męzkiej opieki, brat stał wiernie u boku siostry.

Zresztą testament męża zapewniał hrabinie zupełną niezależność, oddając jej na własność znaczny majątek, przykupiony przez niego, poza majoratem, i mianując ją administratorką dóbr aż do syna pełnoletności, bez zdawania rachunków, oraz współopiekunką dwóch chłopaków.

Słabość starca, dla kobiety młodej, pięknej, a przebiegłej, jeszcze i w tej ostatniej woli przebijała.

Właśnie skończyła się edukacja obydwóch. Hrabia Edmund odbył naturalnie dłuższą podróż wraz ze swoim kuzynem po kontynencie, a teraz wracał, by z dniem, w którym skończy lat dwadzieścia cztery (wyraźny zakaz ojca w testamencie, nie pozwalał mu prędzej oddawać majątku) objąć zarząd dóbr i zostać mianowany Ordynatem na Ettersbergu. Oswald zaś miał wstąpić jako urzędnik do służby państwowej.

Ranek, nazajutrz po przyjeździe naszych podróżników, był jasny i pogodny; lecz jak okiem zasięgnął, mimo iż marzec miał się ku końcowi, biało było i biało. Ziemia spała dotąd snem głębokim pod śniegu całunem. W cieplutkim i eleganckim buduarze, siedziała hrabina, ze synem sam na sam. Mimo, iż:

„Pod lat niewieścich schodziła południe,
„Oboje, dziewki i matrony wdzięki
„Na jednem licu zespoliła cudnie“.

Niktby był nie pomyślał, że to matka człowieka, który kończy lat dwadzieścia cztery, tem bardziej, że ani jednym rysem matki nie przypominał. Jego natura, żywa, ruchliwa, namiętna, usposobienie burzliwe i lekkoduszne, tworzyło z matką przeciwieństwo uderzające. Hrabina, wysoka, smukła, o jasnych jak złoto warkoczach, dotąd siwym włosem nie sprofanowanych, z oczami niebieskiemi, które jedynie na syna czulej patrzały, a dla reszty świata miały spojrzenie zimne i

dumne, o ruchach spokojnych, majestatycznych, była uosobistnieniem damy wielkoświatowej, u której konwenanse, są Alfą i Omegą w życiu, a serce, bądź zawsze spało, bądź siłą woli złamane, ucichło na zawsze.

Piękna ta postać jasnowłosa i jasnooka, podobną była do Gletscheru alpejskiego. I w nim odbija się lazur nieba włoskiego, złoci go promień słońca gorący, lecz biada temu, ktoby zaufał blaskom zwodniczym, a lodowatym. Tak i łono hrabiny, było zimne, dumne i nieczułe, dla jednego syna żywiące miłość prawdziwą, prawie do namiętności posuniętą. C. d. n.

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

ZAŚLUBINY NASTĘPCY TRONU

Dzienniki wiedeńskie otwarły stałą niemal rubrykę, w której program tej uroczystości wypełniany jest szczegółami mniejszej lub większej wagi. I tak donoszą, że urząd ochmistrzowski zawezwał tajnych radców i szambelanów, którzy konwojować chcą księżniczkę Stefanię przy uroczystym wjeździe z Terezjanum do Burgu w d. 10. maja konno lub parokonnemi powozami, aby zgłosili się do 15. b. m. Terezjanum i plac przyległy zamienione być mają w ogród kwiatowy. Cała wspaniałość dekoracyjnaześrodkuje się około mostu Elżbiety. Tam wznosić się będzie na 8 kolumnach kopułą uwieńczony pawilon, gdzie burmistrz Wiednia powita księżniczkę Stefanię. Obok utworzoną zostanie trybuna dla zaproszonych gości. Galowa kareta, w której znajdować się będzie księżniczka, wjedzie pod pawilon i zatrzyma się aż do ukończenia mowy powitalnej przez burmistrza, podczas gdy 16 innych ośmiokonnych karet paradnych ustawi się po prawej i po lewej ręce. Ringstrasse ma być przystrojoną niezliczonemi masztami i festonami, i przybierze postać prawdziwej *via triumphalis*. Bogato architektonicznie przyozdobiona trybuna zamknie Ringstrasse do przedłużonej Kärthnerstrasse. Przed bramą burgową ma być zasadzony sztuczny las; cztery wysokie obeliski pokrywać będzie *velum* z czerwonego aksamitu. W d. 7 maja odbędzie się wielki bal u dworu, a w dniu 10 o 5½ objad galowy, na który zaproszonych będzie 160 osób. Następnego dnia uda się nowo zaślubiona para do „Künstlerhausu“, gdzie Makart wręczy księżniczce Stefanji jej portret przez siebie malowany. Tego samego dnia udają się Arcyksiężtwo przed południem na sześć dni do Laxenburga, poczem 18 z rana nastąpi wyjazd do Pesztu, gdzie arcyksiążęca para osobnym pociągiem stanie o godz. 4 po południu. Jokeyklub peszteński zawiadomiony został, że nowożeńcy ukażą się na wyścigach konnych. Po 5 dniowym pobycie w Peszcie udadzą się Arcyksiężtwo do Pragi na kilkodniowy pobyt. Letnią rezydencją obiorą w wspaniałym i uroczo położonym zamku w Ploszkowie, niedaleko Lutomierzyc w Czechach. W ciągu lata zrobią Arcyksiężtwo dłuższą wycieczkę na romantycznie położoną wyspę Lacroma w pobliżu Dubrownika, chwilowego i faworytalnego miejsca pobytu cesarza Maksymiliana.

W przyszłą niedzielę odbędzie się w szkole artystyczno przemysłowej w Wiedniu składanie w szczegółach już wykończonej wspaniałej szafki, którą przemysłowcy wiedeńscy wraz z kupcami ofiarować mają nowo zaślubionej parze. Szafka ta będzie w stylu *renaissance* a figuryczne i obrazowe ozdoby stanowić mają dzieło sztuki; przeznaczoną jest na wielką liczbę akwarel pochodzących z rąk mistrzów. Akwarele uwidaczniać będą wspomnienia z życia następcy tronu. Po prawej i po lewej stronie szafki mieścić się będzie po 30 akwarel. Szafka kosztować będzie 100.000 zlr.

SKŁADKA DLA GENERAŁA GRANTA.

Z Nowego Yorku piszą: W tych dniach zdołano zapobiedz nareszcie domowemu „ubóstwu“ gen. Granta, o którem tyle ciągle piszą dzienniki amerykańskie. Składka narodowa urządzona przez p. George Jones'a, przyniosła 150 tysięcy dolarów. Właściwie nie można tej składki nazwać „narodową“ gdyż uczestniczyło w niej nie więcej, jak 150 zamożnych jednostek; pięciu krezusów subskrybowało razem 80,000 dolarów. Subskrybenci zastrzegli sobie, iż gen. Grant będzie pobierał tylko procent dożywotni od uzbieranej kwoty, a po śmierci oni określą dalsze przeznaczenie funduszu. Sprawa ta nie jest wszakże naglącą, gdyż były prezydent cieszy się czerstwem zdrowiem i znajduje się w męzkiej porze wieku.

INTELIGENCJA SŁONIÓW.

Na wyspie Cejlon w jednej z fortec, zbudowanej przez Portugalczyków, był słoń nazwiskiem Martyn, używany tam do rozmaitych posług. Po ukończeniu służby swej w obwodzie fortecznym, Martyn zwykł był wychodzić na plac miejski, gdzie mieszkańcy, znający dobrze słonia, posługiwali się nim jak posłańcem lub tragarzem. Martyn wszelką powierzoną mu posyłkę spełniał z największą akuratnością. Zwierzę to odznaczało się w ogóle szczególną zmyślnością i sumiennością w spełnianiu swych obowiązków. Po odniesieniu pakunku pojętny słoń powracał, czekając na słusznie należną mu zapłatę. Trąbą podejmował wówczas monetę, zanosił ją do piekarni lub owocarni i kładł na bufecie; sprzedający wiedząc dobrze co to znaczy, natychmiast załatwiali interesanta. Nikt dotąd nie oszukał go jeszcze. Zdarzyło się to jednak pewnego razu i to z wielką dla winowajcy szkodą. Był nim ajent, któremu słoń odnosił beczkę wina. Po uskutecznieniu posyłki, słoń jak zwykle dobrze wyćwiczonym ruchem trąby, zażądał zapłaty. Ajent jednak, który należał do załogi fortecznej i mniemał że posiada tem samem prawo do posługiwania się bezpłatnie słoniem królewskim, odmówił Martynowi wynagrodzenia. Skoro słoń zmiarkował że go oszukano, powrócił na miejsce gdzie zaniósł był beczkę, pochwycił ją trąbą i podniósłszy wysoko grzmotnął gniewnie o ziemię. W tejże chwili cała beczka kosztownego wina wylała się na ulicę.

BOHATERSKIE PACHOLĘ.

W lecie roku zeszłego bawiło się kilkoro dzieci nad brzegiem rzeki Tanaro pod Aleksandrją w Piemoncie. Naraz jedno z nich, chłopczyk czteroletni, pośliznąwszy się, wpadł do wody w takiem miejscu, gdzie poprzednio nawet umiejący pływać pochłonięci zostali przez wir górskiego strumienia. Nikt więc z przypadkowo obecnych osób dorosłych nie odważył się pospieszyć biednemu dziecku z pomocą i byłoby ono utonęło, gdyby się nie był podjął tego z własnego poczucia obowiązku dwunastoletni chłopiec, nazwiskiem Edward Pazzi, któremu też po nadzwyczajnych wysileniach i narażeniu w najwyższym stopniu własnego życia, powiodło się uratować dziecko. Bohaterskie pacholę to, syn ubogiego robotnika kolejowego, było dnia 3. b. m. przedmiotem wspaniałej owacji w Aleksandrji. Na wniosek bowiem ministerstwa, król przyznał mu medal zasługi, którym burmistrz miasta, senator Zoppi, w dziedzińcu świątecznie przystrojonego Collegio Nationale i w obecności reprezentantów władz i korporacyj, oraz tłumów ludności, przyozdobił pierś małego bohatera, ucałowawszy go wprzód serdecznie imieniem całego miasta. Po tej uroczystości prefekt zaprosił chłopca i jego ojca na objad. Ten ostatni nie przyjął żadnego upominku w pieniądzach.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.